

Sztuka jak piękny bibelot

JAN ENGLERT | Reżyser mówi Małgorzacie Piwowar o fascynacji Fredrą i dzisiejszej premierze w Teatrze TV.

W: Przeniósł pan akcję „Męża i żony” do lat 30. XX wieku, czyli 100 lat później, niż zapisał to autor. Po co poprawiać Fredrę?

JAN ENGLERT: To, co nazywa pani poprawianiem, jest nadaniem nieco innego wyrazu scenicznego dla treści, której nie zmieniłem wcale – nie dopisałem autorowi tekstu ani nie zniszczyłem jego klasycznej formy. Gdyby ubrać aktorów w kostiumy z początku XIX wieku – tak jak zapisał to Fredro – byłaby to dzisiaj raczej ramotka. W naszej realizacji czas nie jest precyzyjnie określony – akcja może toczyć się i dziś. Widziałem kilka realizacji „Męża i żony” – od rozgrywającej na podwórkowym trzepaku blokowiska po kąpiel w wannie. Akcję można przenieść wszędzie. Rzecz w tym, żeby postaci nie przestały mówić fredrowskim językiem, czyli prowadziły inteligentny dialog i zachowywały się tak, jak to zapisał autor. Hrabowie z czasów Fredry mają w naszym przedstawieniu odpowiedników w postaci

dzisiejszych celebrytów albo, jeśli ktoś woli, przedstawicieli śmietanki towarzyskiej. U Fredry bohaterowie podjeżdżają końmi, u nas samochodem. Tekst jest zabawny, komediowy. Wymaga traktowania, jakby był to piękny bibelot.

Tylko tyle?

Nie – aż tyle. Bibelot wymaga odpowiedniego obchodzenia się z nim – umiejscowienia, oprawy i dbałości, żeby się nie zakurzył. Czyli żeby nie stracił swego blasku. Mówienie fredrowskiego wiersza jest dla aktorów wyzwaniem. Forma, metrum, rytm stawiają wysokie wymagania.

To jest dziś potrzebne widzom?

Dzisiaj widownia, żyjąca w świecie zminimalizowanych i, co gorsza, uproszczonych komunikatów, ma kłopot ze słuchaniem dialogu. Nie rozmawiamy już przecież, tylko się informujemy. A język fredrowski wymaga konwersa-



◀ Milena Suszyńska (Justysia) i Jan Englert (Hrabia Waclaw)

cji, malowania słowa, interpretowania wyrazu. Fredro jest już często za trudny. Oprócz słuchu oczekuje jeszcze przecież inteligentnego poczucia humoru. Bo w sztuce rozmawiają inteligenci, choć w opisywanej przez Fredrę sytuacji głupi jak but. W swojej bucie, zarozumiałstwie są śmieszni, zostali pokazani w krzywym zwierciadle. Nie można im jednak odmówić gładkości formułowania sądów, zdań, zgrabnego żonglowania słowami. Ostatnio zrealizowałem w Teatrze Narodowym „Fredraszki” – tekst nie tyle autorstwa Fredry, ile o nim. Wciąż gramy „Śluby pańskie”. Przyglądam się reakcjom widzów, obserwuję, co ich bawi, a z czym mają kłopot. Widzę, że to już jakby nowa publiczność o całkiem nowych wymaganiach, zwłaszcza młodzi. Jeśli młody człowiek nie polubi Fredry na początku przedstawienia, to jest ono dla niego męką. Bo przebić się przez frazę i rytm jedenastozgłoskowca, jest piekielnie trudno, nawet gdy tylko jest się

sluchaczem. Często przychodzą do nas jak na zesłanie na Syberię, ale wychodzą z innym już nastawieniem. Więc jednak Fredro jest potrzebny.

Ma pan słabość do tego autora?

Po śmierci Andrzeja Łapickiego, uznawanego za niekwestionowanego fredrologa, dość nieoczekiwanie przekazano mi tę pałeczkę. Bawi mnie Fredro, który nie zajmował się problemami społecznymi, tylko człowiekiem i jego śmiesznościami. Miał sympatię do ludzi, o których pisał, a to dziś prawdziwa wartość. Fredrę interesuje sposób prowadzenia kłótni przez bohaterów, a nie doprowadzenie do konfrontacji zakończonej morderstwem. Sporo można się od niego nauczyć i dziś, gdy widzimy w innych ludziach głównie wszystko, co w nich najgorsze. Szukamy przecież przeciwnika, z którym moglibyśmy się boksować.

Współcześni Fredrze zarzucali mu brak patrioty-

zmu. Zajmowanie się problemami, którym brak polskości, zapożyczenia ze światowej literatury. A Fredro był po prostu bliższy mickiewiczowskiemu widzeniu polskich grzechów. Często spotykam się z pytaniem, po co wystawiać Fredrę. Żaden Francuz nie pyta, po co wystawiać Moliера, bo w sposób oczywisty uważa go za spuściznę francuskiej kultury. Jeżeli przez kilkaset lat jakiś autor jest grany, to znaczy, że jest zawsze współczesny. Jedyny kłopot to nie uważać się za mądrzejszego od niego i napisanych przez niego postaci.

Dlaczego akurat „Mąż i żona” są jednym z najczęściej realizowanych fredrowskich spektakli, także dla Teatru TV?

To opowieść o naturze relacji damsko-męskich, ich permanentności, czyli ponadczasowości. Gdybym realizował przedstawienie 30 lat temu, na pewno opowiadałoby o czym innym – czytamy wszystko przecież

♦ NAGRODZONA PREMIERA

Spektakl otrzymał nagrodę za reżyserię (Jana Englerta) na zakończonym w ubiegłym tygodniu XVI Festiwalu Teatru PR i Teatru TV.

U honorowane zostały także – za role kobiece – Beata Ścibakówna i Milena Suszyńska. „Mąż i żona” to jeden z najchętniej wystawianych na polskich scenach utworów Aleksandra hr. Fredry. Realizacja Jana Englerta nie tylko wydobywa ze sztuki ponadczasowość relacji czworga bohaterów, a ściślej rzecz biorąc – hipokryzję zachowań w relacjach damsko-męskich – ale też jest ciekawą konfrontacją młodości z dojrzałością. Wnioski nie są najprzyjemniejsze, ale dotkliwie prawdziwe... ©

przez siebie. Po raz pierwszy pewnie w naszym przedstawieniu wybrzmi mocno relacja mistrz-uczeń, czyli opowieść o tym, jak dojrzały hrabia zaprzyjaźniony z młodszym udziela mu nauk nieświadomy, że nie nad wszystkim, co się dzieje, ma kontrolę. Mistrz uważa, że uczeń nie może go nigdy dogonić. I nie bierze pod uwagę, że ten młodszy potrafi go przechytryć. Ten niuans jest możliwy do pokazania z powodu obsady, czyli widocznej różnicy wieku między Alfredem, którego gra Grzegorz Małecki, i Waclawem, którego gram ja.

Kiedy Fredro pisał „Męża i żonę” był niespełna 30-latkim...

To było tak, jakby teraz miał 55 lat. Czyli i adekwatną do tego wieku wiedzę.

W pana przedstawieniu triumfuje młodość.

Tak chciałem. I jeszcze ten efekt wzmocniłem. Bo się starzeję. I widzę rewolucję, która zachodzi wokół nas. ©